Nr 9. Kraków 2 marca 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr., — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 30 c., *półrocznie* 1 złr. 70 c., *ćwierćrocz.* 90 c. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny“, albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można przez księgarnią Fr. Grzybowskiego w Krakowie — a za pośrednictwem wszystkich księgarni

Lwowska ajencyja „Kaliny“ u pp. Hercoka et Arnolda **została zwinięta** — natomiast uwiadamia się, że **ajencyja „Kaliny“**, ale wyłącznie dla prenumeratorów zamieszkałych we Lwowie, jest u Wgo ***T. Kochańskiego***, utrzymującego ajencyją „Czasu“.

Wszelką inną zamiejscową prenumeratę należy przesyłać wprost do Redakcyi.

Kartki o wychowaniu.

przez

Teresę Jüpner.

I.

Wszystko co nam dokucza, co nas krzywdzi: zbrodnie oburzające, słabości, dobrowolne nieszczęścia — wszystko to tylko na karb złego wychowania osobników policzyć należy. Jest to wielka solidarność wszystkich spraw ludzkich, jest to prawda i konieczność, uznana po wszystkie czasy, że wychowanie robi człowieka.

Twierdzą niektórzy, że cnota i błędy bywają już wrodzone. Zapewne, jeżeli się pod tém rozumie pewne skłonności wynikające z fizycznego ustroju. I niesłusznie miał nasz Rej, pisząc w swoim „Żywocie poczciwego człowieka,“ że dziecię jest jakby naga tabliczka, na któréj wszystko napisać można. Można — ale trzeba się umieć zastosować do wrodzonych skłonności. Na tém to polega umiętność wychowania, rozwój moralny i umysłowy, który wpływa potężnie i ostatecznie na urabianie się charakteru.

W dziejach pojawiają się nieraz ludzie okrutni, dziwnéj dzikości. Bywa to zawsze w epokach, kiedy kraj ogarnie demoralizacja i instytucyje się psują. Przeciwnie rzadkie są charaktery potworne u narodu, który żywi w sobie czysty ogień sławy, honoru i miłości ojczyzny. W pięknych dniach wolnéj Grecyi, za świetności rzeczypospolitéj rzymskiéj, ludzie współubiegali się w szlachetności. Lecz kiedy naród jaki jest rozdarty, ujarzmiony, w upadku — pojawiają się podli, zdrajcy, ambitni, szaleńcy i tyrani. I nie może być inaczéj. Różnica między czasami Peryklesa, Nerona, Leonidasa a Tyberiusza, pochodzi z wyobrażeń panujących, z wpływów działających na dorastające pokolenia, w każdym czasie i miejscu. Cnoty Lukrecyi, Kornelii są owocem rzeczypospolitéj, upadek Liwii, Messaliny i tylu innych, wynika z ucisku, przytępiającego wszelkie szlachetne instynkta, niedozwalającego na naturalny rozwój i uprawę charakterów. Wychowanie tak publiczne jak prywatne, może zawsze usposabiać ludzi do szczęścia. Ale jeżeli będzie skrzywione, lub luźne, to nie oglądajcie się za charakterami wzniosłemi, bo wtedy roić się tylko będą stworzenia niepewne, wyrodne, niezdolne ani do rzutności, ani do stałości w dobrém, niezdolne uczuć ani własnego poniżenia, ani poniżenia swojego kraju. Dla tego to rządy samowładne z taką usilnością stawiają zawady wychowaniu narodowemu i wykluczają z niego surowo najpotrzebniejsze działy.

II.

Pomiędzy Polkami znajdziemy zawsze kobiety, godne stanąć obok Kornelii, kobiety, które się entuzjazmują dla wszystkiego co piękne i wielkie, umiejące świetnieć w towarzystwie, a hartowne na ból i rezygnacyją, zdolne, aby natchnąć do bohaterstwa i ożywić geniusz. Zkąd one się biorą? Zaprawdę, wielkie muszą być moralne zasoby narodu i siła jego żywotna, a przytem błogosławieństwo tradycyi ofiarnéj! Co do wychowania bowiem, to niestety ma ono w tém najmniejszy udział. Publicznego narodowego wychowania dziewcząt nie mamy — nieliczne dobre pensjonaty są ścieśnione rozmaitemi ograniczeniami, a wychowanie domowe, o którém tu głównie chcę mówić, albo jest wcale zaniedbane, albo też trzyma się staréj rutyny bez względu na postęp nauk, na zmiany stosunków społecznych, na powstające coraz nowe potrzeby. Nabijać głowę jak najwcześniéj językami zagranicznemi, oto pragnienie rodziców. Dziewczynka w czwartym roku powtarza z unudzeniem frazesy, których myśli nie rozumie. Bona robi z niéj papugę na dwa lub trzy lata. Oto nieszczęsne początki. Z jakąż to przykrością przychodzi patrzeć na miłe dziewczątka, które marszcząc czółko i z oczkami załzawionemi, wybąkują przez nos francuskie dialogi pani B.... Wszystkie te rozmowy z gotową zawsze z góry odpowiedzią, którym brakuje świeżości, niespodzianki, są powszechnie postrachem dla dzieci żywych i dla gu-

wernantek rozumnych. „Potrzeba przyzwyczaić dziecko do pronuncyacyi, do przyswojenia jéj sobie zawczasu, ażeby późniéj panienka umiała się wyrażać z łatwością i płynnie, jakby we własnéj mowie.“ Ależ są inne na to sposoby, wiodące do tego samego celu.

Niechaj matka, lub bona mówi jéj o tém, na co się patrzy: o jasnych kwiatach, o ogrodzie i lesie, o tém rojącém się mnóstwie drobnych stworzeń, o tém wspaniałém słońcu, łamiącém swoje promienie w szybach kościelnych okien, pozłacającém drzewa, zanim w zachodzie utonie.... a o zmierzchu, niechaj mówi powiastki, opowiadane jeszcze przez prababkę i legendy ojczyste. I niech jéj mówi o ptakach, o ich koncertach, o ich obyczajach, ich ruchliwości wdzięcznéj, o ich żywości tak pokrewnéj usposobieniu dziecinnemu. I niech jéj mówi o zwierzętach domowych, o psie, tym wiernym towarzyszu zabaw, o brzozach przeglądających się w stawie.... Tyle jest sposobności, tyle chwil, w których ciekawa dziatwa na wyścigi zadaje pytania, dla czego, na co, skąd te tysiączne rzeczy, które zapełniają jéj żywą, roztrzepaną, ale już myślącą główkę. Wtedy to jest pora, aby obok nabytku wiadomości, kłaść zarazem i węgielne posady wychowania; zasiewać drogocenne ziarna wtedy, kiedy się przyjąć i rozwinąć mogą!

Z natury i z serca trzeba brać głosy i barwy; ubierzcie je w język, jaki wam się podoba, a będą zrozumiałémi i powabnémi dla dziecinnego umysłu.

Ojciec poważny i łagodny mówi o przeszłości ojczyzny; matka o miłości bliźniego, o biednych i uciśnionych, o sierotach, o posłusznych i pilnych, o siostrzyczkach i o starszych braciach, objaśnia, tłomaczy, obznajamia; a sąsiedzi i przyjaciele przychylni częstą obecnością swoją, oswajają przyszłą gospodynię z stosunkami i pożyciem towarzyskiém. A gdzie jest jaka kuzynka lub ciotka, która pozostała panną, bo jéj narzeczony śpi pod lodami Syberyi, albo na którém z czerwonych pól naszych,— będzie ona zawsze pobłażliwą przyjaciółką téj małéj wichrowatéj główki, będzie ją ubóstwiać, i będzie dla niéj nieraz aniołem opiekuńczym, chroniącym przed burą i karą.

A więc żadnego odosobnienia, żadnéj pedanteryi i suchości, żadnéj przesadnéj grozy. Wiek dziecinny niechaj upływa na łonie rodziny, pieszczony, oświecany, kierowany od wszystkich. Nie idzie zatem, żeby nauka od początku nie miała się odbywać według pewnego układu. Ale niechaj systematyczność nie tamuje natury, niechaj promienie świtającego rozumku dziewczynki nie przepadają w ciemnicy przepisanéj książki, ale niechaj się łamią w tęczowe barwy, spotykając się naokoło z sercem i swobodą.

Jest to zupełnie naturalne, że ten wiek słaby i szczery okazuje antypatją dla suchego, mechanicznego pokarmu umysłowego, a zwłaszcza, gdy go podaje osoba obca, któréj saméj trudno przyzwyczaić się do nas i naszego życia. Jakżeż może ona mówić z dziewczynką o tym kraju, rozwijać miłość ku niemu, kiedy go sama nie zna? albo o tradycyjach godnych szacunku, o zwyczajach godnych przechowania, o tych tysiącznych rzeczach, któreby się tak łatwo i już na zawsze wyryły w świeżéj pamięci?....

— Wszyscy wielcy ludzie odebrali wychowanie od matek!

Wiele dam nie ma czasu, aby się oddać temu najświętszemu obowiązkowi. Trzeba się więc uciec do pomocy osób obcych. Niechże to będzie przyjaciołka i istotna pomocnica matki, niech to będzie rodaczka rozumiejąca, do jakiego celu skierowane być winno wychowanie u narodu niewolnego. Zastępywać matkę, jest to zadanie bardzo trudne i święte zwłaszcza w tém, co dotyczy strony moralnéj wychowania, czyli innemi słowy, w tém, co dotyczy nie wykształcenia, ale właściwego wychowania. Przy wyborze żadna ostrożność nie może być zbyteczną. Ale też i z drugiéj strony należy, aby ta przyjaciółka była jako taka uważana, a nie jako najemnica. Sprytne elewki spostrzegą natychmiast, jeżeli rodzice w czémkolwiek ich nauczycielkę lekceważą — nie ma już mowy wtedy o jéj moralném, wychowawczém stanowisku; bo zresztą zkądżeby jéj wśród upokorzeń, i sił do tego starczyło. Lecz chwała Bogu pod tym względem jest już u nas widoczny postęp, więc nie chcę już tych dawnych grzechów odsłaniać.

(Ciąg d. nast.)

CACKO.

(POWIEŚĆ)

przez

Paulinę z L. Wilkońską

My tale is done, may you profit by its moral.
Bulwer.

Pan Zdzisław, bardzo przystojny młodzieniec, z płowym wąsikiem a namiętnym modrych oczów wyrazem — niespokojnie salon przebiegał, marszcząc brew wyrazistą i skubiąc raz po raz niecierpliwie wąsik. Posadzka pod lakierkami jego skrzypiała.

Na wygodnéj kanapce siedziała babka jego, pani prezesowa — nizka, szczuplutka, z białym włosem, w czepeczku koronkowym z popielatą wstążką — i drobnemi palcami zręcznie a szparko siatkę wiązała, rzucając przenikliwe oczów siwych spojrzenie na wnuka, swoją jedyną a najmilszą w świecie pociechę.

— Cacko to, cacko tylko, mój Zdzisiu! — powtarzała już po raz trzeci — a cacko nikomu szczęścia nie da, zabawi tylko na chwilę, i na tém kwita. Że ładna, to nie przeczę wcale: świeża jak różyczka, a milusia jak cukierek. Szczebioce ładniutko, śpiewa jak słowiczek, tańczy jakby jedna z gracyj, ubiera się jakby la-

leczka, i całkiem wygląda jak aniołek. Ale cóż daléj?— odłożyła prątek, bierkę, splotła dłonie, patrząc się na młodziana i przykiwując głową. — Co daléj?.... Ot, ustroić się tylko, zagrać na fortepianie, poplasać, przejrzéć się w zwierciedle, wyjrzéć przez okno na ulicę, wsiąść do karety, pojechać w aleje, albo do Adeli; jeździć na wieczory, teatra, koncerta, bywać na balach... otóż i zatrudnienie całe. A czy panna Ewelina kiedy o czémś ważniejszém pomyśli? Chyba gdy romans przeczyta jaki. Czy umie wziąść igiełkę do ręki? Czyliż zna się na czém? Czy w domu zająć się potrafi czémkolwiek? Powiedz-że sam, mój Zdzisiu jedyny!

A Zdzisław milczał — targał wąsik — a posadzka coraz głośniéj pod jego niecierpliwą skrzypiała stopą. Bo i cóż miał mówić, skoro babka zupełną miała słuszność?... A jednakżeż Ewelinka urocza była — cudną — czarującą!

— Milczysz! — zaczęła znowu sędziwa matrona — bo i zaprzeczyć prawdzie nie możesz. Cacko salonów!... I nie byłbyś szczęśliwy z tém pieścidełkiem, bośmy ciebie wychowali inaczéj. Weź ją tylko do Żulina, a dom zawieruszy się od razu bez zwierzchniego zarządu pani: wszystko zagrzęźnie w opuszczeniu, w niedbalstwie. Pani sama znudzi się na śmierć i czmychnie do mamy, do Drezna, albo nawet i do Paryża, bo gdzież jéj tam zamiłowanie domu i domowego szczęścia! Albożmy to takich małżeństw już nie widzieli?!... Biedaku, zagryzłbyś się niebawem — babka łzę miała na oku — bolałbyś okrutnie, złorzeczyłbyś żywotowi swojemu, a mnieby to od razu do grobu zepchnęło. Chociaż to mniejsza o mnie, boć i tak mi już nie długo!

Zdzisław przystąpił, milczący zawsze, ujął jéj rękę i do ust przycisnął.

— Wybij sobie więc z głowy to śliczne cacko! — wymówiła błagalnym głosem — a znajdziesz godną siebie panienkę — pogłaskała go po głowie i w otwarte pocałowała czoło.

Zdzisław raz wtóry pieszczącą go rękę do ust przycisnął; rzucił się na fotel, podjął ze stolika dziennik jakiś i skwapliwie czytać począł — ale czytałże naprawdę?

Babka dalej siatkę robiła. W salonie było cicho — i tém wyraźniéj odgłaszał się turkot z ulicy.

Uderzyła godzina piąta. Zmrok ostatnich dni październikа zaległ na morderowym pluszu nieco już przypłowiałym trzech kanap ustawionych w klamrę na środku salonu, na stoliku założonym dziennikami różnemi, książkami i pięknem *album* z fotografiami, — a Zdzisław gazetę jeszcze trzymał w ręku. Patrzał się na czarne literki — a przed oczyma jego majaczyła wdzięczna postać, niby rusałki uroczéj, wiotka, zgrabniutka, z uśmiechem na różanych ustach — z gwiaździstém spojrzeniem oczów, to ciemno-wodnych, to czarnych niby naprzemian. Bo i trudno było patrzeć się w te słońca — a pan Zdzisław orlego nie miał wzroku.

Babka wsparła dłonią głowę, zamyśliła się — albo też wnukowi przeszkadzać nie chciała.

Zadzwoniono w przedpokoju.

— Pani pułkownikowa — wymówił wchodzący lokaj.

— Proszę! proszę! — wymówiła pani domu i powstała.

Zdzisław porwał się także.

Weszła kobieta miłego wyrazu, młodsza o lat dwudziestkę od prezesowéj — i obiedwie uścisnęły się serdecznie.

Zdzisław przyjaciołkę babki w rękę pocałował.

— Siadaj, Maryniu, siadaj kochanie! — i pani domu pociągnęła gościa obok siebie na kanapę.

Lokaj wniósł światło.

— Cóż pan Zdzisław taki zamyślony i chmurny?— zapytała pułkownikowa po chwili, bo młody znowu zasiadł fotel, wsparł ręką czoło, i patrzał się w czarne literki gazety — a widział tylko słoneczne oczęta ślicznéj Ewelinki.

— Czytałem... to jest, skończyłem czytać... — odsunął gazetę i wyprostował się nieco.

— Ej! — zaczęła babka — bo ot, nagadałam mu właśnie, aby sobie to śliczne cacko, pannę Ewelinę Runowską, z głowy wybił. Wszkżeż to nie dla niego żona, powiedzże sama, moja Maryniu? — i ujęła rękę pułkownikowéj.

— Ładna, śliczna, milutka, dobre dziecko... trochę niepraktycznie wychowana, ale może się zmieni, gdy za mąż pójdzie.

— Co się ma zmienić?! — uniosła się nieco sędziwa pani — a jakiż z matki ma przykład? Ta, bo ustroić się tylko, wonnościami namaścić, romansidła francuskie pochłaniać, i o nic więcéj nie pytać! chyba że o jaki przysmaczek.

— Majętni ludzie!

— Co tam majątek! To rzecz nabyta: dziś jest jutro może nie być. Pan Runowski ma piękne dobra, ma kamienice, rzuca się na spekulacyje wielkie, córki jego zapewne znaczne będą miały posagi, ale: w złym rzędzie, świat cały mało będzie, niesie dawne przysłowie. Ewelina o niczém pomyśleć nie umie, zaledwo o toalecie balowéj.

— Jestto prawda. Matka zły kierunek nadała jéj wychowaniu....

— A raczéj lepszego nadać nie umiała i panna błyszczy blichtrem, a to szczęścia dać nie może.

— Nawet i dla niéj saméj.

— A przyszłemu małżonkowi tylko niewątpliwą zwiastuje niedolę! — dorzuciła prezesowa skwapliwie.

— Jednakżeż przy majątku, przy znacznym majątku — wtrąciła znowu pułkownikowa, litując się nad Zdzisławem, który cierpiał widocznie.

— Co tam! Zdziś się zastanowi, Zdziś mnie usłucha, bo niechciałby babce sprawić zmartwienia! — i podała mu rękę.

Zdzislaw suchą, chudą rączkę poczciwéj babki znowu do ust przycisnął — a niby mgłą zaszły mu oczy.

— Późniéj podziękujesz mi za to! — dodała jeszcze.

Rozmowa po chwili na inny przeszła temat, zręcznie przez pułkownikową pokierowana.

Zdzisław stanął przy oknie i popatrzał się na ulicę: latarnie już oświetlały chodniki, po których dużo uwijało się osób. Powozy, karety, dorożki w tę i ową goniły stronę. Niebo było gwiaździste — ale Zdzisław jednę tylko przed sobą widział gwiazdę — równie niedościgłą, jak tamte. Usunął się od okna — przebiegł pare razy salon: to pochylił czoło, to je podniósł, jak gdyby z jakąś bił się myślą. Potém nagle do babki przystąpił.

— Dobranoc, babunciu! — wymówił.

— Dokądże idziesz? — babka pogłaskała go po czole.

— Pójdę na teatr.

— To idźże z Bogiem, i zabaw się dobrze.

Młodzian pokłonił się pułkownikowéj i wybiegl.

— Cięży mi bardzo na sercu to obałamucenie chłopca — zaczęła prezesowa po wydaleniu się jego — i uchowaj, Panie Boże, by całkiem nie oszalał.

— A jednakże to bardzo majętna jest panna — wtrąciła przyjaciołka znowu, pragnąc interesa nieobecnego poprawić nieco, bo litowała się nad młodym.

— Powtórzyłam już tyle razy, że niczém jest majątek bez rządu dobrego! — uniosla się sędziwa pani — i powtarzam raz setny: to jest cacko, i będzie tylko strapieniem dla męża, a biedę do domu sprowadzi. Matka, niunia, Boże odpuść! do niczego zgoła, wychowała ją od siedmiu boleści, i oddała jéj całkiem cugle do ręki, to i cóż z tego dobrego być może?... Zachowaj, Panie Boże, mojego Zdzisia! — i złożyła dłonie z westchnieniem. — Chłopiec wziął ojcowiznę bez długu, ale rządzić się musi dobrze i pracować, bo inaczéj przepadnie. Na zbytki nie wystarczy przy procencie, jaki mi opłaca, i podatkach.

— Ależ wziąłby posag znaczny.

— Kwituję z posagu przy takiém bawidełku! — i prezesowa aż poczerwieniała. — I posag pójdzie, a przedewszystkiem mężowski majątek, to już widziało się nieraz. Mamy tego przykłady! I nieźle gminne mówi przysłowie: „co mąż zapracuje wołami, to żona nierządna fartuchem wyniesie“. Myśmy z poczciwym mężem moim przy pracy i oszczędności powiększyli w trójnasób po rodzicach puściznę. Syn ją utrzymał, chociaż nań ciężkie przypadły lata.... Krajowe nieszczęścia także odbiły się i na nim nieboraku..... Potém nieurodzaje, choroba żony ukochanéj i śmierć jéj przedwczesna.... Potém i jemu się zmarło biedaczyskowi, i wszystko na mojéj pozostało głowie — otarła łzę z oka, i znowu daléj mówiła: Strzedz swojego uczy rozum, a pracować na zagonie po ojcach wziętym obowiązkiem każdego. Boć taki majątek jest i narodową własnością, więc kto sobie niesumiennie postąpi i ojcowiznę marnuje, ten i złym synem jest kraju. Praca i oszczędność błogosławionėm są godłem. I Zdzisław tego się nauczył, rządzi się tą zasadą, a miałżeżby teraz, zajrzawszy cacku w oczy, zapomnieć o wszystkiém? Ewelina niema wyobrażenia, ani poczucia o żadnym obowiązku, bo któżby ją tego byl nauczył?... Czy ojciec, wiecznie spekulacyjami zajęty? Czyli téż matka, niemądra, próżna, żyjąca tylko splendorami swojemi, zakochana w ładnéj córeczce, a nie myśląca o jutrze.

— To jest sobie dobroduszna kobieta.

— Ale byłaby pewnie złośliwą, gdyby więcéj rozumu miała, bo tam uczucia niemasz żadnego. O niéj powiedzieć można, że jest ni do Boga, ni do ludzi.

— A przecież taka pobożna!

— To téż tak, ot sobie! Niby to dla lepszego tonu, albo i ze zwyczaju. At! aż mi się w głowie gorąco zrobiło — przycisnąla rękę do czola — a w sercu gorżko i trwożliwie.

— To już i nie mówmy o tém! — wyrzekła pułkownikowa.

— Tak, tak, dosyć tego na dziś! Zdziś sobie cacko wyperswaduje, bo mnie kocha szczerze. To i kwita!... A więc z téj sesyi na inną: Każę poprosić majora i pana radzcę na preferansika — zadzwoniła i stosowne ku temu dała rozkazy.

(Ciąg d. n.)

Ze złotego wieku.

(MOZAJKA.)

1. Spotkanie.

Usychało wątłe kwiecie
Bez rosy i słonka.
Błysło słonko, spadła rosa —
Słychać głos skowronka.

Leci światem woń majowa,
Barwisto i jasno....
O dziewczyno czarodziejko
Sercu w piersiach ciasno.

2. Posłuchy.

Przepióreczką zwią ją ludzie,
Szczebiotliwą przepióreczką;
Powie słówko, to się zdaje
Ptaszek zadzwonił piosneczką.

I nazwali ją dziciusio —
Bo jest tak niewinnie śmiała;
Mówią także, że to pączek,
Bo w rumieńczyk się ubrała.

3. Przepadło

Dwa motylki fijołkowe
Na dwóch różach siadły,
Pod niemi się dwa perłowe
Sznureczki układły.

Patrzę w róże i motylki,
Sznurki pereł dzwonią;
I dzień za dniem niby chwilki
Zczarowane gonią.

4. Pytanie.

Zkądżeś ty mi się zjawiła,
Złote moje ty jabłuszko, —
Zkądżeś ty mi się zjawiła,
Mój aniołku, moja duszko?

Ja się boję z każdą chwilą,
Że ty będziesz w niebo wzięta —
Ja się boję z każdą chwilą,
Żeś ty jest z obrazka święta.

5. Skarga.

Sam się, sam oskarżyć muszę,
Choć z bojaźni aż drżę cały, —
Mimowolnie, na mą duszę,
Byłem dziś przez sen zuchwały.

Śniło mi się, dziewczę moje,
Że w ogródku z tobą byłem,
Żem całował rączki twoje; —
Nie gniewaj się, tylko śniłem.

6. Z daleka.

Wciąż mi topolową ścieżą
Za kapliczkę myśli bieżą,
Do różyczek i do mojéj,
W białym dworku tam dziewoi.

I na skrzydłach wspomnień ptakiem
Lecę tym znajomym szlakiem;
Świtaż jéj tam w sercu, w główce,
O codziennéj téj wędrówce?

7. Krakowiak.

Gdybyś ty dziewczyno była
Razem ze mną w mieście,
Kędy Wisła się rzuciła,
Gdzie kościołów z dwieście;

Poszlibyśmy na mogiły
Spojrzeć po wsze strony,
Jak się to poczerwieniły
Krwią nasze zagony.

I szlibyśmy z dobrych wieści
Ziarnem między ludzi,
Wierząc, że Bóg po boleści
I mścicieli zbudzi.

I szlibyśmy naprzód, śmiało
Przebojem przez życie;
A na szczęście, by nam stało
Swojskich serc obficie.

Czemużeś ty w takiéj dali
Tam u matki jedna —
Że się tylko żali, żali
Dusza moja biedna.

Oj co było już nie wróci,
Ginie jak w mogile; —
Piosnkę sobie człek zanuci,
I z wszystkiego tyle.

(Dok. nastąpi.)

Kobiety dramatów Słowackiego.

II.

(LILLA-WENEDA.)

Roza Weneda. — Lilla Weneda. — Gwinona.

Tu już rzecz dramatu rozwija się na szerszém polu, fantastyczny świat duchów, który widzieliśmy w Balladynie, całkiem ustępuje z widowni, akcyja wychodzi z ciasnego kółka domowych spraw — wypadki na pół historyczne, które w poprzednim dramacie były tłem tylko, tu występują na pierwszym planie. Widzimy bowiem walkę na śmierć dwóch szczepów Lechitów i Wenedów, walkę o istnienie. Po jednéj stronie występuje siła fizyczna ze wszystkiemi zwierzęcemi instynktami — po drugiéj potęga ducha i słowa streszczone w harfie króla Wenedów.

Nam, którzy przeżyliśmy rok 1861, łatwo zrozumieć Lillę Wenedę. W 30 prawie lat po ukazaniu się tego dramatu podobna walka powtórzyła się w rzeczywistości na ulicach Warszawy; poeta proroczo przeczuł tę chwilę. Nowe pokolenie Wenedów, „narodzone z kości starych pobojowisk, ożywione pieśniami harfiarzy“, stanęło znowu do walki z najezdniczą siłą, niemając innéj broni prócz pieśni. Podobieństwo tu jest uderzające — nawet w szczegółach. Przyjrzyjmy się tylko przebiegowi akcyi w dramacie.

Rzecz rozpoczyna się po jakiejś nieszczęśliwéj bitwie, w któréj Derwid król Wenedów dostał się do niewoli Lechitów. Lilla Weneda córka jego trzechkrotném poświęceniem wybawia ojca z niewoli — a tymczasem siostra jéj Roza, wróżka nieszczęśliwego narodu, rozkazuje harfiarzom iść budzić lud po siołach pieśniami do nowéj walki — i obiecuje zwycięztwo, skoro Derwid z harfą wróci.

Derwid oślepiony wraca, ale zamiast harfy, trupa Lilli Wenedy odsyłają mu w skrzyni Lechici.

Czyż u nas było inaczéj? — Kiedy zmilkły harfy poetów — pięć ofiar z krwawemi ranami niby pięć strun harfy zagrało jękiem narodowi zrywającemu się do rozpacznéj walki — a wypadek téj walki równie jak u Wenedów — zwątpienie i kajdany.

To uderzające podobieństwo uwiodło wielu, że Lillę Wenedę uważali za allegoryją, na co żadną miarą zgodzić się nie możemy, opierając się na słowach poety, któreśmy przytoczyli już przy rozbiorze Balladyny. „Ja z Polski dawnéj, tworzę fantastyczną legendę — z ciszy wiekowéj wydobywam chóry prorockie.“ Poeta więc nie myślał o żadnéj allegoryi, chciał nam przedstawić z czasów przedhistorycznych chwilę najścia zbrojnego szczepu Lechitów na spokojne, rolnicze i śpiewacze ludy Wenedów i upadek tych ostatnich — a że upadki narodów mają bolesne pokrewieństwa między sobą, dla tego słyszymy tam głosy, jakby naszych własnych piersi, a poeta malując tamte czasy, miał na model świeże boleści swego narodu, i w jego niezaschłych ranach maczał pióro dla kreślenia rozpacznéj walki Wenedów. Ztąd dramat jego, jakkolwiek sięgający tak odległych wieków, ma tyle dla nas interesu, tyle siły żywotnéj i świeżości barw.

Dramat rozpoczyna się straszną wróżbą Rozy Wenedy:

Przekleństw! przekleństwo! przekleństwo!
Ojczyzna nasza kona — i na wieki,
Widzę umarłą.

Te słowa pachnące krwią, rzucają całun na całą akcyją dramatu, i na tém czarném tle i poświęcenie się białéj Lilli Wenedy i wszystkie nadzieje Wenedów zrywających się do nowéj walki, tragiczny robią efekt, bo przewidujemy ich smutny koniec.

Pomimo téj strasznéj przepowiedzi słyszymy ciągle głos wróżki, zachęcający do walki — ona wlewa ogień do łez harfiarzy, każe im uciszyć rękami rozpłakane lutnie, by lud smutnego tonu nie słyszał.

Brońcie, by między lud ta pieśń nie wybiegła.
Brońcie, by grobu dusza ludu nie spostrzegła —
Brońcie, by lud nad sobą nie usłyszał płaczu —
Jeżli nie obronicie tego — potępieni!

Czemże więc jest ta Roza Weneda, gnająca lud do boju, którego straszne zakończenie nie jest zakryte przed jéj oczami? —

Jest wprawdzie córką Derwida, siostrą Lilli — ale ciągła styczność z światem duchów, zatarła w niéj te cechy ziemskiego pochodzenia — nie widać w niéj kobiety, córki, siostry — jeno wróżkę. Widzimy ją otoczoną wszystkiemi zewnętrznemi przyborami sztuki wieszczbiarskiéj, używającéj do czarów krwi, piszczeli ludzkich mózgu, zajętą tylko losami swego narodu. To ciągłe wytężenie myśli i wzroku w świat zaziemski sprawia, że duchowy pierwiastek staje się w niéj przeważnym, że ona a duch narodu, to jedno i dla tego wierzy w swoją nieśmiertelność, jak wierzy w nieśmiertelność żywotnéj siły narodu, że mówi o sobie:

Ja ostatnia zostanę żywa.
I zakocham się w rycerzy popiołach,
I popioły mnię zapłodnią.
Kto konając we mnie uwierzy
Skona spokojny,
Ja go zemszczę lepiéj od ognia i wojny,
Lepiéj niż stotysięcy wroga,
Lepiéj od Boga.

To nie jest postać allegoryczna, ale prorokini z siłą nadprzyrodzoną, wierząca w swoje natchnienie i posłannictwo, czująca się reprezentantką ducha narodowego i mówiącą: duch a ja — to jedno. Dla tego stojącéj na téj wyżynie związki familijne, związki krwi wydają się błachemi, poświęca je dla narodu, nie ma łez dla nieszczęśliwéj siostry swojéj, dla ojca — jeno los narodu ją obchodzi.

Będziesz ty jak płaczka wyła
(odzywa się do Lilli Wenedy)
Nad sobą — gdy rycerze konają?
. . . .
Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy.

Kiedy stary Derwid wraca z niewoli nie rzuca mu mu się na szyję z radości, nie płacze nad jego wyłupionemi oczami, ale pyta się: „Bez harfy przyszedłeś?„ bo ta harfa miała przynieść zwycięztwo jéj ludowi. Derwid nie rozumie tego fanatyzmu patryjotycznego wróżki i dla tego oburza się tém dziwném powitaniem córki.

O gadzino!
Czyś się ty z harfy mojéj urodziła?
Że ty mię witasz tak?

Chce wracać do wieży pełnéj wężów, które nie gryzą tak serca jak córka. „Gadzino“ — mówi daléj.

Gdy mi darto oczy,
Myślałem, że ta córka wydrze swoje,
I włoży w moją czaszkę swoje oczy —
A teraz widzę, że mi wydrze serce
I włoży w swoje piersi puste — Harfo!
Ty jesteś harfą bez strun, czarownico!

I cóż Roza Weneda na te skargi ojca? Czy mu się rzuca do nóg? czy go chce kwileniem dziecięcém przebłagać? — Nie, ona mówi:

O bodaj mnie piorun —
Bo ty bez harfy przyszedłeś — o królu!

I dziś upadniesz na stos bez królestwa.

Kiedy siostra jéj młodsza mówi, że gotowa za harfę oddać się w ręce Lechitom, Roza nie waha się między miłością ku siostrze, a nadzieją zwycięztwa i mówi jéj: „więc idź — bo harfa zwycięży“. — Poświęca więc siebie, siostrę, ojca — sto serc gotowa poświęcić za zwycięztwo. I to poświęcenie kosztować ją musi wiele, bo chociaż oczom ludzkim przedstwia się jako niezbłagane fatum, choć ojcu własnemu wydaje się jak gadzina bez serca — jednak za tą kamienną maską wróżki, rysy twarzy kurczą się boleścią W prologu — w owéj grocie wśród ciemnéj nocy, gdy wstała sama bez harfiarzy, bez ludzi, odzywa się jak sofoklesowska Antygona:

O wróżka, wróżka ludu nieszczęśliwa.
Ona ma serce!

Tym bolesnym wykrzykiem zdradza kobiecą naturę, ziemskie pochodzenie swoje — ta skarga wśród ciemnéj nocy, nie słyszana przez nikogo, daje nam miarę jéj zaparcia się dla narodu i robi, że widz nie tylko bez wstrętu, ale z współczuciem patrzy na straszne czynności wróżki, że jéj nie przeklina wraz z Derwidem, bo czuje wśród jéj nieubłaganych proroctw drgające z bólu serce kobiety. (Ciąg dal. nast.)

Czortków 23. lutego 1867.

Szanowna Redakcyo! Wyczytawszy w numerze 4tym „Kaliny“ o smutném położeniu powracających z niewoli Sybirskiéj, urządziłam w Czortkowie w moim domu bal, na korzyść tych nieszczęśliwych.

Bal ten odbył się dnia 21go lutego 1867.

Przychód za bilety wstępne wynosi . 200 fr. 50 c.
Wydatki za muzykę światło itd. . . . 75 złr 50 c.
Zostaje czysty dochód . . . . 125. złr.

które się szanownéj redakcyi z tą prośbą doręcza, aby stosunkowa liczba prawdziwie potrzebnych, tą kwotą była obdzieloną.

Nadmienić tu muszę, że do zebranych 200 złr. 50 c. przyczyniło się okoliczne obywatelstwo tylko datkiem za bilety wstępu . . . . 87 złr. —
a Publiczność miasteczka Czortkowa . . 113 złr. 50 c.

Upraszam szanowną redakcyą wiadomość niniejszą w najbliższym numerze szczegółowo umieścić.

Erazma Szattauer.

Otrzymaliśmy powyższy list przed samém wyjściem Nru — i zamieszczamy go w całości, bez pochwał i kadzideł, gdyż czyn sam za sobą najlepiéj przemawia.

Pieniądze oddamy gdzie należy i doniesiemy o sposobie użycia ich. *Redakcyja.*

Opis ryciny mód i krojów

załączonych przy dzisiejszym numerze.

Wiosenne mody tegoroczne nie różnią się wiele od dawniejszych, gdyż płaszczyki wiosenne, żakiety i paletociki są miernéj długości lub zupełnie krótkie. Na dołączonéj rycinie zamieszczamy trzy najnowsze ładne okrycia wiosenne paryzkie, z których tylko okrycie Fig. 3. różni się długością od innych, lecz jest to zupełnie nowe oryginalne ubranie, które raczéj suknią aniżeli paletotem nazwaćby można, a długość jego jest tak zastósowana, że tylko z jednéj strony daje się widzieć suknia w rodzaju spodnicy używanéj pod suknią. Z przodu spięty jest podwójnym rzędem guzików, zresztą można go tak urządzić, żeby guziki tylko jako ubranie jego naszyte były, a tylko stan na guziki był spięty. Można go zrobić z materyi wełnianéj w modnym kolorze, a wszystkie zeszycia zamiast wązką krepinką, bogatszém wyszyciem zapomocą maszyny do szycia lub szutaziem podług wzorów które dołączamy, przystroić. Na arkuszu krojów jest to ubranie pod Fig. 6—10 w zmniejszeniu przedstawione.

Fig. 1. na rycinie przedstawia pojedynczą ale gustowną i praktyczną mantylę wiosenną. Złożona jest z dwóch części, które pod Fig. 1—2 na arkuszu umieszczone są. Przez plecy na dół i na ramionach jest suto szmuklerską krepiną obszyta, brzegi są pojedynczą krepinką obszyte, lecz i to można bogatszém wyszyciem zastąpić.

Fig. 2. nosi krótki paletocik wiosenny, który w kształcie kołnierza z przodu szeroko na dół, jakoteż na rękawach maszyną bogato wyszyty. Wyszycie to można stembnem lub ściegiem łańcuszkowym zastąpić. Na arkuszu Fig. 3—5. przedstawia paletocik w zmniejszeniu, który na wiosnę jako ubranie praktyczne i eleganckie a zarazem dogodne, noszony być może.

Chcąc uzyskać wzór na wyszycie, bierze się papier i cały wzór wykłówa się na nim dość grubą szpilką, potem kładzie się ten papier na materyją, na któréj ma być wyszycie, bierze się miałko tłuczona kréda w kawałek tyfoniu i pociera po wykłutym papierze, przez co uzyska się dokładny wzór tegoż wyszycia na każdéj materyi.

OPIS KROJOW.

Na dzisiejszym arkuszu dołączamy najnowsze paryzkie modele okryć i strojów damskich. Chociaż nie wszystkie z Szanownych Czytelniczek użytkują z opisów modeli dołączonych, jednakowoż zapoznamy Czytelniczki z najnowszemi kapeluszami i ubiorkami.

Dla osób trudniących się robieniem sukien damskich, pospieszamy z opisem krojów na okrycia, które na rycinie są umieszczone. Modele nasze są tém dogodniejsze i praktyczniejsze, iż każde okrycie na rycinie, jest w zmniejszeniu na arkuszu wraz z krojem umieszczone, podług którego można każde ubranie dokładnie odrobić

Fig. 1—2. Krój **mantylki wiosennej** Fig. 1. na rycinie. Mantylka złożona jest z dwóch części: z przodu Fig. 1. i plecek Fig. 2. Ostatnie układają się zarazem nakształt dużego rękawa.

Plecy złożone są w tyle we fałd, co na Fig. 2. cieniem jest odznaczone. Dokładne zeszycie oznaczają znaki 000000 i ††††† — które ze sobą się łączą, zresztą używa się ryciny do dalszego wyszycia.

Fig. 3—5. Krój **paletocika** Fig. 2. z ryciny. Paletocik ten jest miernéj długości, równy i dosyć obszerny, z bardzo małém wcięciem w zeszyciach bocznych, dla tego też nie ma on żadnych boczków. Wyszyty jest w kształcie wykładu z przodu, a w kształcie kołnierza na plecach, który na kroju zmniejszonym cieniem jest odznaczony. Rękaw Nr. 5. ma również wyszycie zastósowane do materyi użytéj na paletocik. Na jasną wełnianą materyję można użyć cokolwiek ciemniejszego obłożenia morą, co nadzwyczaj elegancko wygląda. Zresztą zostawiamy to do gustu i fantazyi osób trudniących się robotą takich ubrań.

Fig. 6—18. Krój **paletota** czyli **sukni**, Fig. 3. Oryginalny krój paletota jest zupełnie do stanu złożony z boczka Fig. 7. Przód Fig. 8. dla lepszego wcięcia opatrzony wszytką głęboką z przodu. Rękaw jest podwójny tj. zwykły rękaw Fig. 9. i osobny rękaw otwarty Fig. 10. Dokładne zrobienie paletota widzimy na osobie trzeciéj.

Fig. 11—15. Ładny **stan dla dziewczynki** 7—10-letniéj. Do kroju tego stanika stosowna jest miara 26 do 30 centimetrów szerokości piersi, lecz z pomocą „sposobu zwiększania“ można na 31 i 34 centimetrów powiększyć, zastosowowszy pod każdym względem miarę. Piękna robota stanika oznaczona Fig. 11. Pasek Fig. 14. zakończający stan zastosowany być musi do miary wziętéj w pasie.

Fig. 16. **Pelerynka** w kształcie kołnierza. Pelerynka zrobiona z ciepłéj materyi do użycia w domu bardzo stosowna; zrobiona z materyi jedwabnéj z sutém wyszyciem, użytą być może nawet do stroju większego. Dołączamy pojedynczy a zarazem ładny model.

Fig. 17. **Nowe wyszycia.** Piękne i bogate te wyszycia są najstosowniejsze do przybrania sukien jakotéż okryć damskich. Wzór ten można wyszywać szutaziem, maszyną, ściegiem łańcuszkowym lub zwykłym sznurkiem okrągłym, który jednak wymaga dobrego przyszycia.

Fig 18—23. Nowe paryzkie modele strojów damskich. Chociaż modele te przez nadzwyczajne zmniejszenie nie dopaszczają dokładnego opisu i oznaczenia materyi, to przecież każdy znający takie roboty, pozna dokładnie rodzaj każdego modelu i osądzi, z jakiego rodzaju materyi najlepiéj się odrobić da, i czyli aksamitu, koronek lub wstążek użyć potrzeba. — Model Fig. 18. złożony jest z wstążek, tiulu i koronki. — Fig. 19. jest tylko z wstążki z obszyciem koronkowém, również Fig. 20, lecz z tą różnicą, że tutaj mają wstążki podłożenie czyli czółko z mory, które wstążką i koronką jest garnirowane.

Obydwa kapelusze Fig. 21—22. są częścią z aksamitu, częścią z materyi jedwabnéj zrobione i podług woli materyją ogarnirowane.

Fig. 23. jest strojny ubiorek z kwiatów i koronek na delikatnym postumenciku z karkasu ułożony. Okrąg naokoło włosów jest ze sznelki, a na nim spada barba koronkowa przez włosy w tył.

ROZMAITOŚCI.

Uniwersytet żeński. (Dok.) Życie młodych akademiczek nie jest wcale po akademicku wolne, owszem przy całym konforcie zewnętrznego otoczenia, panuje tam angielska surowość. Żadnéj nie wolno bez pozwolenia przyjmować odwiedzin, ani też udawać się saméj po za mury zakładu, lub do sąsiedniego miasta. Nawet krewni tylko przy nadzorze do wspólnéj mownicy mogą być przypuszczani. Co do saméj nauki są tam nauczyciele: filozofii, starych i nowych języków, greckiego, łacińskiego, angielskiego, francuzkiego, wymowy, matematyki, chemii, nauk przyrodniczych, geologii, mineralogii, muzyki, rysunku, malarstwa, jazdy; nauczycielki: wszystkich wymienionych języków, matematyki, chemii, astronomii, fizyologii, gimnastyki, siedm pomocnic. Gabinet przyrodniczy i pracownia chemii bogato zaopatrzone; na bibliotekę idzie rocznie 1000 dolarów; galeryja obrazów zakupionych powiększéj części we Włoszech i Niderlandach; gwiaździarnia z wszelkiemi przyrządami jedna z najdoskonalszych w Ameryce. Rury rozprowadzone z zakładów gazu i pary wynoszą 21 mil angielskich. — Zakład taki jest dziełem jednego prywatnego człowieka, obywatela z miasta Poughkeepsie w stanie N.-York. Matthew Vassar przybył jako chłopiec z biednemi rodzicami do Ameryki. Utrzymywali się z pracy rąk. Matthew po amerykańsku wziął się do rzeczy, dążąc do samodzielności. Uciuławszy z zarobku dziennego małą sumkę, rozpoczął drobne interesa handlowe na własną rękę. Po kilku latach mozołu i oszczędzań doszedł do tego, że założył mały browar do wyrobu *Ale* i ożenił się. On sam był piwowarem, a żona jego utrzymywała w lokalu piwnicznym szynk. Jeżeli się zdarzyło, że całą beczkę ktoś kupił, to sam pryncypał mu ją na barkach zanosił. Przedsiębiorstwo szło dobrze, podniosło się do ogromnego zakładu, właściciel stał się jednym z najbogatszych ludzi i dzisiaj jeszcze jako starzec 75cio-letni, owoców swojéj pracy używa. — Odwiedziwszy Anglią, powziął myśl zbytek szczęścia swojego na publiczną korzyść spożytkować: 18go stycznia 1861 przeznaczył na założenie opisanéj akademii 408,000 dolarów (przeszło 800,000 zł. a.). Pomimo wojny domowéj została ona 21 sierpnia 1865 uroczyście otwartą. I tak żywy był udział Amerykanek w tém dziele oświaty, że w tymże dniu 300 uczennic się zgłosiło. Według życzenia założyciela niema zakład przynosić pieniężnych korzyści, tylko się utrzymać. Skoro zaś każda uczennica płaci 350 dolarów, więc zaraz z początku przychód roczny wynosił przeszło 100,000 dolarów. Wszelki czysty dochód idzie na udoskonalenie zakładu. Według wypowiedzenia Vassara celem téj akademii nie jest dostarczanie sawantek, ale dobrze wychowanych żon i matek“; nie przeszkadza to jednak wcale umiejętnym kierunkom szczególniéj w dwóch wydziałach, astronomii i medycynie. Co do pierwszéj przyznaje Aleksander Humboldt kobietom wyższe uzdolnienie jak mężczyznom, gdyż mają najlepiéj wykształcony zmysł kolorów. Powtóre jest to coraz głośniejszém żądaniem obyczajowém, żeby dla kobiecych chorób były i stosownie wykształcone doktorki. — Oto jest jedno z dzieł mogących powstać pod błogosławieństwem wolności. z *W. E.*

— Wielu osobom wręczono już **program odczytów publicznych** na rzecz Towarzystwa akad. wzajemnéj pomocy. Czytamy na tym programie nazwiska znane z talentu i wymowy, a że treść wykładów jest popularna i zajmująca, jak to z tytułów wnosić możemy, więc odczytom tym świetne rokować możemy powodzenie. Dla czytelniczek zamiejscowych, które na tych odczytach nie będą mogły się znajdować, będziemy podawać treść ich i niektóre więcéj zajmujące ustępy. — Tu tylko zrobimy tę uwagę, że porządek odczytów zmienionym został — a mianowicie: 1) Odczyt Dr. Majera. 2) Józefa Szujskiego. 3) Dr. Kremera. 4) Dr. Dunajewskiego. 5) Dr. Kuczyńskiego. 6) Dr. Łepkowskiego. 7) Dr. Karlińskiego. 8) Lucyjana Siemińskiego. 9) Karola Langiego. — Dnie pozostają te same, jakie w programie są wydrukowane.

Korespondencja „Kaliny“.

A. B. C. w Krakowie. „Chmurki, Gwiazdki“ — wiecznie piękne w naturze, w poezyi zużyły się już jak stare kulisy, dla tego zostawiając sobie wierszyk Pani na czas, kiedy moda tego rodzaju w poezyi się wróci. — Prosimy o coś prozą, która jak z kilku wierszy listu wnosić możemy, jest pełna dowcipu i humoru.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.